

Recenzja adaptacji filmowej Szekspira na przykładzie „Straconych zachodów miłości”

Kino jest jak „studnia bez dna”, z której obficie czerpią reżyserzy z całego świata, racząc nas filmami o różnorodnej tematyce. Obecnie zauważyć można tendencje do upraszczania schematów i podejmowania banalnych zagadnień, służącą wyzwoleniu w odbiorcy przynajmniej krzty radości i zadowolenia. Naprzeciw tym motywom jawi się postać Kennetha Branagha, który wręcz niezmiernie przekłada swą fascynację Szekspirem na swe filmy. W końcu, kto lepiej rozumie angielskiego dramaturga, jak nie rodowity Brytyjczyk! Należy przyznać także, iż zamiłowanie to przenika na odbiorców jego sztuki, pozostawiając ślad, nawet w tak głęboko przesiąkniętej komercyjnymi ideami duszy młodego człowieka. Branagh postawił sobie nie lada wyzwanie, gdyż powziął się tym razem adaptacji dzieła, obok „Hamleta” czy „Henryka V”, mniej znanego szerokiej widowni a mianowicie komedii „Stracone zachody miłości”, nadając jej zaiste, formę wręcz hollywoodzką.

Tym razem Kenneth Branagh ingerował silniej w swoją adaptację Szekspira, może z tego tytułu, iż pierwowzór nie jest już tak „genialny”, nadając jej co najmniej dwa główne czynniki uwspółcześniające jak: osadzenie akcji w XX w. (pierwsze dni II wojny światowej) i opatrzenie jej formą musicalową z lat 30. czy 40. „Stracone zachody miłości” to komedia prosta i lekka w odbiorze, czemu sprzyja nadanie jej tej bądź co bądź odmiennej formy. Królestwo Nawarry staje się przez chwilę wielką sceną, na której w rytm najpopularniejszych standardów Portera, Gershwin i Berlina: np. „Cheek to cheek”, tańczą i śpiewają główni bohaterowie (w tym także sam Kenneth Branagh). Są to obrazy bardzo dynamiczne, postaci biegają, skaczą po meblach, krawężnikach, wykonują akrobacje, a nawet rzucają się po podłodze. Któż inny dopisałby XVI-wiecznej sztuce Szekspira stepowanie? A jednak, ten zabieg się opłacił i uatrakcyjnił całe widowisko. Natomiast poważnym uchybieniem jest zaangażowanie tylko jednego zawodowego tancerza, pozostali starają się dotrzymać mu kroku, z różnym skutkiem, choć najgorzej w tej roli prezentuje się Matthew Lillard. Ogólnie poziom ich kunsztu tanecznego nie zasługuje także na większy komentarz. Choreografię zaś, nie tworzą tylko zachowawcze i pełne taktu sceny, okraszone miłą dla ucha melodią. Kulminacją zalotów jest moment balu maskowego, na którym panny wymieniają się podarkami, chcąc zmylić swych adoratorów, który ma zupełnie

inna wymowę. Początkowo niewinne tańce zmieniają się w zmysłową orgię, w której partnerzy wykonują wyuzdane gesty i przesiąknięte erotyką układy. Poza tym, sama intryga miłosna prowadzona jest zabawnie i inteligentnie. Pretendenci do ręki księżniczki francuskiej i jej przyjaciółek bawią nas serią humorystycznych epizodów, słownych potyczek i nietuzinkowych werbalnych popisów, dzięki czemu możemy choć na chwilę odizolować się od przytłaczających nas agresją i brutalnością w swej wymowie scen, a nawet uśmiechnąć się do ekranu kinowego. Ogromną zaletą tego filmu są postaci drugoplanowe, które w przeciwieństwie do pierwszoplanowych doskonale wywiązują się z powierzonych im zadań, przez co zapisują się w pamięci odbiorców, a nawet w moim przekonaniu są bardziej charyzmatyczni. Absolutnym ulubieńcem widzów jest Don Armado, który swoją mimiką, gestami a przede wszystkim charakterystycznym sposobem mówienia niejednokrotnie wywołuje salwy śmiechu wśród publiczności. Ostatnim aspektem jaki należy poruszyć, jest scenografia. Wszystkie zdjęcia zostały zrealizowane w atelier dzięki czemu reżyserowi udało się uzyskać specjalny klimat, charakterystyczny dla najlepszych obrazów z udziałem m.in. Freda Astaire'a. W ten sposób Branagh stworzył fantastyczny, barwny, harmonijny świat, niczym z bajki- idealny do bólu tj. utrzymany w tematyce miłosnej.

Ten film jest dowodem na to, że Szekspir jest jak gąbka - wchłania problemy współczesności i nadaje im uniwersalizmu. Mimo to motyw II wojny światowej, a finalnie - walka bohaterów na froncie jest dla mnie niezrozumiała i nie wpisuje się w kontekst sztuki. Pierwszoplanowi bohaterowie nie zachwycają, a sam Kenneth Branagh nie wygląda na rówieśnika pozostałych kawalerów. Fabuła jest przewidywalna, dowcipy nie zawsze wysokiej próby, ale nie można komedii tej odmówić pewnego wdzięku i czaru. Mimo tych wielu negatywnych opinii ten *quasi*-szekspirowski wytwór przyciąga uwagę widza poprzez swoją niesamowitą scenografię i miłe dla ucha tematy muzyczne.

Natalia Formella